**Droga, z której się nie wraca**

Andrzej Sapkowski

I

Ptak o pstrokatych piórkach, siedzacy na ramieniu Visenny, zaskrzeczal, zatrzepotal skrzydelkami, z furkotem wzbil sie i poszybowal miedzy zarosla. Visenna wstrzymala konia, nasluchiwala chwile, potem ostroznie ruszyla wzdluz lesnej drózki.

Mezczyzna zdawal sie spac. Siedzial opierajac sie plecami o slup posrodku rozstaju. Z blizszej odleglosci Visenna zobaczyla, ze oczy ma otwarte. Juz wczesniej spostrzegla, ze jest ranny. Prowizoryczny opatrunek, pokrywajacy lewe ramie i biceps, przesiakniety byl krwia, która jeszcze nie zdazyla sczerniec.

— Witaj, mlodziencze — odezwal sie ranny, wypluwajac dlugie zdzblo trawy. — Dokad zmierzasz, jesli wolno spytac?

Visennie nie spodobal sie ten «mlodzieniec». Odrzucila kaptur z glowy.

— Spytac wolno — odpowiedziala — ale wypadaloby uzasadnic ciekawosc.

— Wybaczcie, pani — rzekl mezczyzna, mruzac oczy. — Nosicie meski strój. A co do ciekawosci, to jest ona uzasadniona, a jakze. To jest niezwykle rozdroze. Spotkala mnie tu interesujaca przygoda...

— Widze — przerwala Visenna, patrzac na nieruchomy, nienaturalnie skrecony ksztalt, na wpól zagrzebany w poszyciu nie dalej niz dziesiec kroków od slupa.

Mezczyzna podazyl za jej spojrzeniem. Potem ich oczy spotkaly sie. Visenna, udajac, ze odgarnia wlosy z czola, dotknela diademu ukrytego pod opaska z wezowej skóry.

— A tak — rzekl ranny spokojnie. — Tam lezy nieboszczyk. Bystre macie oczy. Pewnie uwazacie mnie za rozbójnika? Mam racje?

— Nie masz — powiedziala Visenna, nie odejmujac reki od diademu.

— A... — zajaknal sie mezczyzna. — Tak. No...

— Twoja rana krwawi.

— Wiekszosc ran ma taka dziwna wlasciwosc — usmiechnal sie ranny. Mial ladne zeby.

— Pod opatrunkiem zrobionym jedna reka bedzie krwawic dlugo.

— Czyzbyscie chcieli zaszczycic mnie swoja pomoca?

Visenna zeskoczyla z konia, drazac obcasem miekka ziemie.

— Nazywam sie Visenna — powiedziala. — Nie zwyklam robic nikomu zaszczytów. Poza tym nie cierpie, kiedy ktos zwraca sie do mnie w liczbie mnogiej. Zajme sie twoja rana. Mozesz wstac?

— Moge. A musze?

— Nie.

— Visenna — powiedzial mezczyzna, unoszac sie z lekka, by ulatwic jej odwiniecie plótna. — Ladne imie. Mówil ci juz ktos, Visenna, ze masz piekne wlosy? Ten kolor nazywa sie miedziany, prawda?

— Nie. Rudy.

— Aha. Jak skonczysz, ofiaruje ci bukiet z lubinu, o, tego, co rosnie w rowie. A w czasie operacji opowiem ci, ot tak, dla zabicia czasu, co mi sie przydarzylo. Nadszedlem, wystaw sobie, ta sama droga co i ty. Widze, stoi na rozstaju slup. O, wlasnie ten. Do slupa przymocowana deska. To boli.

— Wiekszosc ran ma taka dziwna wlasciwosc. — Visenna oderwala ostatnia warstwe plótna, nie starajac sie byc delikatna.

— Prawda, zapomnialem. O czym ja... Ach, tak. Podchodze, patrze, na desce napis. Strasznie koslawy, znalem kiedys lucznika, który potrafil ladniejsze litery wysikac na sniegu. Czytam... A to co ma byc, moja panno? Co to za kamyk? O, do licha. Tego sie nie spodziewalem.

Visenna powoli przesunela hematyt wzdluz rany. Krwawienie ustalo momentalnie. Zamknawszy oczy, uchwycila ramie mezczyzny oburacz, mocno dociskajac brzegi skaleczenia. Odjela rece — tkanka zrosla sie, pozostawiajac zgrubienie i szkarlatna prege.

Mezczyzna milczal, bacznie sie jej przypatrujac. Wreszcie podniósl ostroznie ramie, rozprostowal je, potarl szrame, pokrecil glowa. Naciagnal skrwawiony strzep koszuli i kubrak, wstal, podjal z ziemi pas z mieczem, kiesa i manierka, spinany klamra w ksztalcie smoczego lba.

— Tak, to sie nazywa miec szczescie — powiedzial, nie spuszczajac z Visenny oka. — Trafilem na uzdrowicielke w samym srodku puszczy, w widlach Iny i Jarugi, gdzie zwykle latwiej o wilkolaka albo, co gorsza, pijanego drwala. Jak bedzie z zaplata za leczenie? Chwilowo cierpie na brak gotówki. Wystarczy bukiet z lubinu?

Visenna zignorowala pytanie. Podeszla blizej do slupa, zadarla glowe — deska przybita byla na wysokosci wzroku mezczyzny.

— «Ty, który nadejdziesz od zachodu — przeczytala na glos. — W lewo pójdziesz, wrócisz. W prawo pójdziesz, wrócisz. Wprost pójdziesz, nie wrócisz». Bzdury.

— Dokladnie to samo pomyslalem — zgodzil sie mezczyzna, otrzepujac nogawki z igliwia. — Znam te okolice. Prosto, to jest na wschód, idzie sie ku przeleczy Klamat, na kupiecki trakt. Niby dlaczego nie mozna stamtad wrócic? Takie ladne dziewczeta spragnione zamazpójscia? Tania gorzalka? Wakujace stanowisko burmistrza?

— Nie trzymasz sie tematu, Korin.

Mezczyzna otworzyl usta, zdumiony do granic.

— Skad wiesz, ze nazywam sie Korin?

— Sam mi to mówiles przed chwila. Opowiadaj dalej.

— Tak? — Mezczyzna spojrzal na nia podejrzliwie. — Doprawdy? No, moze... Na czym skonczylem? Aha. Czytam wiec i dziwie sie, co za baran wymyslil ten napis. Naraz, slysze, ktos belkoce i mruczy za moimi plecami. Ogladam sie, babulenka, siwiutenka, zgarbiona, z kijaszkiem, a jakze. Pytam grzecznie, co jej jest. Ona mamroce: «Glodnam, cny rycerzyku, od switania na zab nie bylo co wziac». Zgaduje, ma babulenka jeszcze minimum jeden zab. Wzruszylem sie jak nie wiem co, biore wiec z sakwy chleba kasek i polowe wedzonego leszcza, którego dostalem od rybaków nad Jaruga, i daje starowince. Ta siada, mamle, chrzaka, wypluwa osci. Ja nadal ogladam ten dziwny drogowskaz. Naraz babcia odzywa sie: «Dobrys, rycerzyku, poratowales mnie, nagroda cie nie minie». Chcialem jej powiedziec, gdzie moze sobie wsadzic swoja nagrode, a babka mówi: «Zbliz sie, mam ci cos rzec do ucha, wazna tajemnice odkryc, jak wielu dobrych ludzi od nieszczescia wybawic, slawe zyskac i bogactwo».

Visenna westchnela, siadla obok rannego. Podobal jej sie, wysoki, jasnowlosy, z pociagla twarza i wydatnym podbródkiem. Nie smierdzial jak zwykle mezczyzni, których spotykala. Odpedzila natretna mysl, ze za dlugo wlóczy sie samotnie po lasach i goscincach. Korin ciagnal opowiesc:

— Ha, pomyslalem sobie — mówil — klasyczna okazja sie trafia. Jesli babka nie ma sklerozy, a ma wszystkie klepki, to moze i bedzie z tego zysk dla biednego wojaka. Schylam sie, nadstawiam ucha jak kto glupi. No i gdyby nie refleks, dostalbym prosto w grdyke. Odskoczylem, krew sika mi z ramienia jak z fontanny palacowej, a babka sunie z nozem, wyjac, parskajac i plujac. Ciagle jeszcze nie uwazalem, ze to powazna sprawa. Poszedlem w zwarcie, by pozbawic ja przewagi, i czuje, ze to zadna staruszka. Piersi twarde jak krzemienie...

Korin zerknal w strone Visenny, by sprawdzic, czy sie nie czerwieni. Visenna sluchala z grzecznym wyrazem zaciekawienia na twarzy.

— O czym to ja... Aha. Myslalem, zwale ja z nóg i rozbroje, ale gdzie tam. Silna jak rys. Czuje, za moment wysmyknie mi sie jej reka z nozem. Co bylo robic? Odepchnalem ja, cap za miecz... Nadziala sie sama.

Visenna siedziala milczac, z reka u czola, niby w zadumie poprawila wezowa opaske.

— Visenna? Mówie, jak bylo. Wiem, ze to kobieta i glupio mi, ale niech skonam, jesli to byla normalna kobieta. Natychmiast po tym, jak upadla, odmienila sie. Odmlodniala.

— Iluzja — rzekla Visenna w zamysleniu.

— Ze co?

— Nic — Visenna wstala, podeszla do zwlok lezacych w paprociach.

— Tylko popatrz. — Korin stanal obok. — Baba jak posag w palacowej fontannie. A byla zgarbiona i pomarszczona jak zad stuletniej krowy. Niech mnie...

— Korin — przerwala Visenna — nerwy masz mocne?

— He? A co maja do tego moje nerwy? Owszem, jesli cie to interesuje, nie narzekam.

Visenna zdjela opaske z czola. Klejnot w diademie rozjarzyl sie mlecznym blaskiem. Stanela nad zwlokami, wyciagnela rece, zamknela oczy. Korin przygladal sie jej z pólotwartymi ustami. Visenna pochylila glowe, szeptala cos, czego nie rozumial.

— Grealghane! — krzyknela nagle.

Paprocie zaszelescily gwaltownie. Korin odskoczyl dobywajac miecza, zamierajac w obronnej pozycji. Zwloki zatrzepotaly.

— Grealghane! Mów!

— Aaaaaaaa! — rozlegl sie z paproci narastajacy ochryply wrzask. Trup wygial sie w kablak, nieledwie lewitowal, dotykajac ziemi plecami i czubkiem glowy. Wrzask scichl, zaczal sie rwac, przechodzic w gardlowy belkot, urywane jeki i krzyki, stopniowo nabierajace kadencji, ale absolutnie niezrozumiale. Korin poczul na plecach zimna struzke potu, drazniaca jak pelznaca gasienica. Zaciskajac piesci, by powstrzymac mrowienie w przedramionach, cala sila woli walczyl z przemoznym pragnieniem ucieczki w glab lasu.

— Oggg... nnnn... nngammm — wybelkotal trup, drac ziemie paznokciami, bulgocac krwawymi bankami, pekajacymi na wargach. — Nam... eeeggg...

— Mów!

Z wyciagnietych dloni Visenny saczyl sie metnawy strumien swiatla, w którym wirowal i klebil sie kurz. Z paproci frunely w góre suche listki i zdzbla. Trup zachlysnal sie, zamlaskal i nagle przemówil. Zupelnie wyraznie.

— ...rozstajach szesc mil od Klucza w poludnie najdalej. Poo... Posylal. Kregu. Chlopaka. Spra... ggg... Aaazal. Kazal.

— Kto?! — krzyknela Visenna. — Kto kazal? Mów!

— Fffff... ggg... genal. Wszystkie pisma, listy, amulety. Pier... scienie.

— Mów!

— ...rzeleczy. Kosciej. Ge... nal. Zabrac listy. Per... gaminy. Przyjdzie z maaaaaaaaa! Eeeeeeeee! Nyyyyyyyyy!!!

Belkotliwy glos zawibrowal, rozplynal sie w przerazajacym wrzasku. Korin nie wytrzymal, rzucil miecz, zamknal oczy i przycisnal dlonie do uszu. Stal tak, dopóki nie poczul na ramieniu dotkniecia. Drgnal poteznie, calym cialem, jakby ktos zlapal go za genitalia.

— Juz po wszystkim — powiedziala Visenna, ocierajac pot z czola. — Pytalam, jakie masz nerwy.

— Co za dzien — wystekal Korin. Podniósl miecz, schowal go do pochwy, starajac sie nie patrzec w strone nieruchomego juz ciala.

— Visenna?

— Slucham?

— Chodzmy stad. Jak najdalej od tego miejsca.

II

Jechali we dwójke na koniu Visenny lesnym duktem, zarosnietym i wyboistym. Ona z przodu, w siodle, Korin na oklep, z tylu, obejmujac ja w talii. Visenna juz dawno przywykla bez skrepowania cieszyc sie drobnymi przyjemnosciami, sporadycznie ofiarowywanymi przez los, z zadowoleniem opierala wiec plecy o piers mezczyzny. Milczeli oboje.

— Visenna — Korin zdecydowal sie pierwszy, po blisko godzinie.

— Slucham.

— Nie jestes tylko uzdrowicielka. Jestes z Kregu?

— Tak.

— Sadzac po tym... pokazie, mistrzem?

— Tak.

Korin puscil jej talie i przytrzymal sie leku siodla. Visenna zmruzyla oczy z gniewu. Oczywiscie nie dostrzegl tego.

— Visenna?

— Slucham?

— Zrozumialas cos z tego, co ta... co to... mówilo?

— Niewiele.

Znowu milczeli. Pstrokaty ptak, przelatujacy nad nimi wsród listowia, zaskrzeczal glosno.

— Visenna?

— Korin, zrób mi przyjemnosc.

— He?

— Przestan gadac. Chce pomyslec.

Dukt sprowadzil ich prosto w dól, w wawóz, w koryto plytkiego strumienia, leniwie przemykajacego wsród glazów i czarnych pni w przenikliwym zapachu miety i pokrzywy. Kon slizgal sie na kamieniach pokrytych osadem gliny i mulu. Korin, by nie spasc, ponownie uchwycil talie Visenny. Odpedzil natretna mysl, ze za dlugo wlóczy sie samotnie po lasach i goscincach.

III

Osada byla typowa ulicówka, przytulona do zbocza góry, rozwleczona wzdluz traktu, slomiana, drewniana i brudna, przycupnieta wsród krzywych plotów. Gdy nadjechali, psy podniosly jazgot. Kon Visenny czlapal spokojnie srodkiem drogi, nie zwracajac uwagi na zajadle kundle wyciagajace spienione pyski ku jego pecinom.

Poczatkowo nie widzieli nikogo. Potem zza plotów, z drózek wiodacych na gumna, pojawili sie mieszkancy — podchodzili wolno, bosi i chmurni. Niesli widly, dragi, cepy. Którys schylil sie, podniósl kamien.

Visenna wstrzymala konia, uniosla reke. Korin spostrzegl, ze w dloni trzyma maly zloty nozyk w ksztalcie sierpa.

— Jestem uzdrowicielka — powiedziala wyraznie i dzwiecznie, choc wcale nieglosno.

Chlopi opuscili bron, zaszemrali, spojrzeli po sobie. Bylo ich coraz wiecej. Kilku blizszych zdjelo czapki.

— Jak zowie sie to siolo?

— Klucz — padlo z cizby po chwili ciszy.

— Kto starszy nad wami?

— Topin, wielmozna pani. O, tamta chalupa.

Nim ruszyli, przez szpaler rolników przecisnela sie kobieta z niemowleciem na reku.

— Pani... — jeknela, dotykajac niesmialo kolana Visenny. — Córka... Az gorzeje z goraczki...

Visenna zeskoczyla z kulbaki, dotknela glówki dziecka, zamknela oczy.

— Jutro bedzie zdrowa. Nie owijaj jej tak cieplo.

— Dzieki, wielmozna... Stokrotne...

Topin, starszy osady, byl juz na podwórku i wlasnie zastanawial sie, co poczac z widlami, które trzymal w pogotowiu. Wreszcie zgarnal nimi ze schodów kurze lajno.

— Wybaczcie — rzekl, odstawiajac widly pod sciane chalupy. — Pani. I wy, wielmozny. Czas niepewny taki... Do srodka prosze. Na poczestunek upraszam.

Weszli.

Topinowa kobieta, holujac uczepiona spódnicy dwójke slomianowlosych dziewuszek, podala jajecznice, chleb i zsiadle mleko, po czym znikla w komorze. Visenna, w odróznieniu od Korina, jadla malo, siedziala zasepiona i cicha. Topin przewracal oczami, drapal sie w rózne miejsca i gadal.

— Czas niepewny. Niepewny. Bieda nam, wielmozni. My owce na runo hodujem, na sprzedaz to runo, a nynie kupców nie ma, tedy wybijamy stada, runne owce bijem, by do garnka co wlozyc. Dawniej kupce po jaszme, po kamien zielony chodzili do Amellu, przez przelecz, tamój kopalnie sa. Tamój jaszme dobywaja. A jak kupce szli, to i runo brali, placili, rózne dobro ostawiali. Nie ma nynie kupców. Nawet soli nie ma, co ubijem, we trzy dni zjesc musim.

— Omijaja was karawany? Dlaczego? — Visenna w zamysleniu co jakis czas dotykala opaski na czole.

— A omijaja — burknal Topin. — Zamknieta droga do Amellu, na przeleczy rozsiadl sie przeklety kosciej, zywej duszy nie przepusci. To jak tam kupcom isc? Na smierc?

Korin zamarl z lyzka zawieszona w powietrzu.

— Kosciej? Co to jest kosciej?

— A bo to ja wiem? Kosciej, mówia, ludojad. Na przeleczy pono siedzi.

— I nie przepuszcza karawan?

Topin rozejrzal sie po izbie.

— Niektóre ino. Mówia, swoje. Swoje puszcza.

Visenna zmarszczyla czolo.

— Jak to... swoje?

— Ano swoje — zamruczal Topin i pobladl. — Ludziskom z Amellu jeszcze gorzej nizli nam. Nas choc bór nieco pozywi. A tamci na golej skale siedza i ino to maja, co im kosciejowi za jaszme sprzedadza. Okrutnie, po zbójecku pono za kazde dobro placic kaza, ale co tamtym z Amellu czynic? Przecie jaszmy jesc nie beda.

— Jacy «kosciejowi»? Ludzie?

— Ludzie i vrany, i insi. Zbiry to, pani. Oni do Amellu woza to, co nam pobiora, tam na jaszme i kamien zielony mieniaja. A nam sila biora. Po siolach, bywalo, grabili, gwalcili dziewki, a przeciwil sie kto, mordowali, z dymem puszczali ludzi. Zbiry. Kosciejowi.

— Ilu ich? — odezwal sie Korin.

— Kto by ich tam, panie wielmozny, liczyl. Bronia sie siola, kupy trzymaja. Co z tego, kiedy w nocy naleca, podpala. Lepiej juz nieraz dac, czego chca. Bo mówia...

Topin pobladl jeszcze bardziej, zadygotal caly.

— Co mówia, Topin?

— Mówia, ze kosciej, jesli go rozezlic, wylezie z przeleczy i pójdzie ku nam, ku dolinom.

Visenna wstala raptownie, twarz miala zmieniona. Korina przeszyl dreszcz.

— Topin — powiedziala czarodziejka. — Gdzie tu kuznia najblizsza? Kon mój podkowe zgubil na trakcie.

— Za osada dalej, pod lasem. Tamój kuznia jest i stajnia.

— Dobrze. Teraz idz, popytaj, gdzie kto chory lub ranny.

— Dzieki niech wam beda, dobrodziejko wielmozna.

— Visenna — odezwal sie Korin, gdy tylko za Topinem zamknely sie drzwi. Druidka odwrócila sie, spojrzala na niego.

— Twój kon ma wszystkie podkowy w porzadku.

Visenna milczala.

— Jaszma to oczywiscie jaspis, a zielony kamien to jadeit, z którego slyna kopalnie w Amell — ciagnal Korin. — A do Amell mozna dojsc tylko przez Klamat, przez przelecz. Droga, z której sie nie wraca. Co mówila nieboszczka na rozdrozu? Dlaczego chciala mnie zabic?

Visenna nie odpowiedziala.

— Nic nie mówisz? Nie szkodzi. I tak wszystko zaczyna sie pieknie wyjasniac. Babulenka z rozstaju czekala na kogos, kto zatrzyma sie przed glupim napisem, zakazujacym dalszego marszu na wschód. To byla pierwsza próba: czy przybysz umie czytac. Potem babka upewnia sie jeszcze: któz, jesli nie dobry samarytanin z Kregu Druidów, wspomoze w dzisiejszych czasach glodna staruszke? Kazdy inny, glowe daje, odebralby jej jeszcze i kijaszek. Chytra babcia bada dalej, zaczyna gaworzyc o biednych ludziach w nieszczesciu, potrzebujacych pomocy. Podrózny, zamiast poczestowac ja kopniakiem i plugawym slowem, jak uczynilby to zwykly, szary mieszkaniec tych okolic, slucha w napieciu. Tak, mysli babcia, to on. Druid idacy rozprawic sie z banda przesladujaca okolice. A ze ponad wszelka watpliwosc sama jest naslana przez owa bande, siega po nóz. Ha! Visenna! Czyz ja nie jestem nadprzecietnie inteligentny?

Visenna nie odpowiedziala. Stala z glowa odwrócona w strone okna. Widziala — pólprzezroczyste blony z rybich pecherzy nie stanowily przeszkody dla jej wzroku — pstrokatego ptaka siedzacego na wisniowym drzewku.

— Visenna?

— Slucham.

— Co to jest kosciej?

— Korin — rzekla Visenna ostro, odwracajac sie ku niemu. — Dlaczego sie mieszasz do nie swoich spraw?

— Posluchaj — Korin ani troche nie przejal sie jej tonem. — Jestem juz wmieszany w twoje, jak mówisz, sprawy. Tak wyszlo, ze chciano mnie zarznac zamiast ciebie.

— Przypadkowo.

— Myslalem, ze czarodzieje nie wierza w przypadki, tylko w magiczne przyciaganie, sploty wydarzen i rózne takie. Zauwaz, jedziemy na jednym koniu. Fakt i przenosnia zarazem. Krótko... Oferuje ci pomoc w misji, której celu sie domyslam. Odmowe potraktuje jako przejaw arogancji. Mówiono mi, ze wy, z Kregu, mocno lekcewazycie sobie zwyklych smiertelników.

— To klamstwo.

— Swietnie sie sklada — Korin wyszczerzyl zeby. — Nie tracmy zatem czasu. Jedzmy do kuzni.

IV

Mikula solidniej uchwycil pret obcegami i obrócil go w zarze.

— Dmij, Czop! — rozkazal.

Czeladnik zawisl na dzwigni miecha. Jego pucolowata twarz blyszczala od potu. Pomimo szeroko otwartych drzwi w kuzni bylo nieznosnie goraco. Mikula przerzucil pret na kowadlo, kilkoma mocnymi uderzeniami mlota rozplaszczyl koniec.

Stelmach Radim, siedzacy na nie obrobionym pienku brzozowym, równiez sie pocil. Rozpial sukmane i wyciagnal koszule ze spodni.

— Dobrze wam gadac, Mikula — powiedzial. — Wam bijatyka nie nowina. Kazdy wie, zescie nie cale zycie w kuzni kuli. Ponoc dawniej lby tlukliscie, nie zelazo.

— To i cieszyc sie powinniscie, ze takiego macie w gromadzie — rzekl kowal. — Po raz wtóry mówie wam, ze nie bede wiecej tamtym w pas sie klanial. Ani robil na nich. Nie pójdziecie ze mna, zaczne sam albo z takimi, co krew, nie podpiwek, maja w zylach. W lasy zapadniem, bedziem ich po jednemu prac, jak którego nadybiem. Ilu ich? Trzydziestu? Moze i tego nie. A siól po tej stronie przeleczy ile? Chlopów mocnych? Dmij, Czop!

— Przecie dme!

— Razniej!

Mlot dzwonil o kowadlo rytmicznie, nieledwie melodyjnie. Czop dal w miech. Radim wysmarkal sie w palce, wytarl dlon o cholewe.

— Dobrze wam gadac — powtórzyl. — A ilu to z Klucza pójdzie?

Kowal opuscil mlot, milczal.

— Takem myslal — rzekl stelmach. — Nikt nie pójdzie.

— Klucz siolo male. Mieliscie wybadac w Porogu i w Kaczanie.

— Tak i badalem. Mówilem wam, jak jest. Bez wojaków z Mayeny ludzie nie rusza. Niektórzy gadaja tak: co nam tamci, vrany, bobolaki, tych na widly mozemy we trzy migi wziac, ale co czynic, gdy kosciej na nas pójdzie? W bór umykac. A chalupy, dobytek? Na plecy nie wezmiemy. A na koscieja nie nasza moc, to wiecie.

— Skad mam wiedziec?! Widzial go kto?! — krzyknal kowal. — Moze wcale nie ma nijakiego koscieja? Tylko strachu chca wam do rzyci nagonic, kmiotkom? Widzial go kto?

— Nie gadajcie, Mikula — Radim schylil glowe. — Sami wiecie, ze z kupcami w ochrone nie byle jakie zabijaki chodzily, obwieszone zelazem, istne rezuny. A wrócil który z przeleczy? Ani jeden. Nie, Mikula. Trzeba czekac, mówie wam. Da komes z Mayeny pomoc, wtedy inna sprawa bedzie.

Mikula odlozyl mlot, ponownie wlozyl pret w palenisko.

— Nie przyjdzie wojsko z Mayeny — powiedzial ponuro. — Pobili sie panowie miedzy soba. Mayena z Razwanem.

— O co?

— A bo to wyrozumiesz, o co i po co sie wielmozni bija?! Po mojemu, z nudów, kpy zaprzale! — wrzasnal kowal. — Widzieliscie go, komesa! Za co my jemu, gadowi, danine placim?

Wyrwal pret z zaru, az sypnely sie iskry, wywinal nim w powietrzu. Czop odskoczyl. Mikula chwycil mlot, walnal raz, drugi, trzeci.

— Jak komes chlopaka mojego wygnal, do Kregu tamtejszego go poslalem, pomocy prosic. Do druidów.

— Do czarowników? — spytal stelmach z niedowierzaniem. — Mikula?

— Do nich. Ale chlopak nie wrócil jeszcze.

Radim pokrecil glowa, wstal, podciagnal spodnie.

— Nie wiem, Mikula, nie wiem. Nie na moja to glowe. Ale i tak na to samo wychodzi. Czekac trzeba. Konczcie robote, wraz jada, trzeba mi...

Przed kuznia na podwórzu zarzal kon.

Kowal zamarl z mlotem wzniesionym nad kowadlem. Stelmach zaszczekal zebami, zbladl. Mikula spostrzegl, ze drza mu rece, wytarl je bezwiednie o skórzany fartuch. Nie pomoglo. Przelknal sline i ruszyl ku wyjsciu, w którym wyraznie rysowaly sie sylwetki jezdzców. Radim i Czop poszli za nim, bardzo blisko, z tylu. Wychodzac, kowal oparl pret o slup przy drzwiach.

Widzial szesciu, wszystkich konno, w przeszywanicach nabijanych zelaznymi plytkami, kolczugach, skórzanych helmach ze stalowymi nosalami, wchodzacymi prosta linia metalu pomiedzy ogromne rubinowoczerwone oczy zajmujace polowe twarzy. Siedzieli na koniach nieruchomo, jakby niedbale. Mikula, biegajac spojrzeniem od jednego do drugiego, widzial ich bron — krótkie dzidy o szerokim ostrzu. Miecze z dziwacznie wykuta garda. Berdysze. Zebate gizarmy.

Na wprost wejscia do kuzni stalo dwóch. Wysoki vran na siwku okrytym zielonym kropierzem, ze znakiem slonca na helmie. I drugi...

— Matenko — szepnal Czop za plecami kowala. I zachlipal.

Drugi jezdziec byl czlowiekiem. Mial na sobie ciemnozielony vranski plaszcz, ale spod dziobowatego helmu patrzyly na nich blade, niebieskie — nie czerwone — oczy. W oczach tych krylo sie tyle zimnego, obojetnego okrucienstwa, ze Mikule przeszyl potworny strach wdzierajacy sie zimnem do trzewi, mdlacy, splywajacy mrowieniem do posladków. Nadal bylo cicho. Kowal slyszal bzykanie much klebiacych sie nad kupa nawozu za plotem.

Czlowiek w helmie z dziobem przemówil pierwszy.

— Który z was jest kowalem?

Pytanie bylo bezsensowne, skórzany fartuch i postura Mikuli zdradzaly go na pierwszy rzut oka. Kowal milczal. Uchwycil okiem krótki gest, jaki bladooki wykonal do jednego z vranów. Vran przechylil sie w kulbace i machnal na odlew gizarma trzymana w polowie drzewca. Mikula skurczyl sie, odruchowo kryjac glowe w ramiona. Cios nie byl jednak przeznaczony dla niego. Brzeszczot ugodzil Czopa w szyje i wcial sie skosnie, gleboko, druzgocac obojczyk i kregi. Chlopiec runal plecami na sciane kuzni, zatoczyl sie na slup przy drzwiach i zwalil sie na ziemie w samym wejsciu.

— Pytalem — przypomnial czlowiek w dziobowatym helmie, nie spuszczajac z Mikuli oka. Dlonia w rekawicy dotykal topora zawieszonego u siodla. Dwaj vranowie, stojacy najdalej, krzesali ogien, zapalali smolne luczywa, rozdawali innym. Spokojnie, bez pospiechu, stepa, okrazali kuznie, przykladali zagwie do strzechy.

Radim nie wytrzymal. Zakryl twarz dlonmi, zaszlochal i ruszyl prosto przed siebie, pomiedzy dwa konie. Gdy zrównal sie z wysokim vranem, ten z rozmachem wbil mu dzide w brzuch. Stelmach zawyl, upadl, dwukrotnie podkurczyl i rozprostowal nogi. Znieruchomial.

— No i co, Mikula, czy jak ci tam — powiedzial bladooki. — Zostales sam. I po co ci to bylo? Ludzi buntowac, po pomoc gdzies tam posylac? Myslales, ze sie nie dowiemy? Glupi jestes. Sa po wsiach i tacy, co doniosa, byle sie przypodobac.

Strzecha na kuzni trzeszczala, stekala, buchala brudnym zóltawym dymem, wreszcie huknela, ryknela plomieniami, sypnela iskrami, czknela poteznym oddechem zaru.

— Twojego czeladnika dopadlismy, wyspiewal, dokad go posylales. Na tego, co ma przyjsc z Mayeny, tez czekamy — kontynuowal czlowiek w helmie z dziobem. — Tak, Mikula. Wepchnales swój parszywy nos tam, gdzie nie nalezalo go wpychac. Za to spotka cie zaraz powazna nieprzyjemnosc. Tak mysle, ze warto by cie wbic na pal. Znajdzie sie tu w obejsciu jakis przyzwoity pal? Albo jeszcze lepiej: zawiesimy cie za nogi na drzwiach stodoly i obedrzemy ze skóry jak wegorza.

— Dobra, dosyc tego gadania — rzekl wysoki vran ze sloncem na helmie, ciskajac swoja zagiew w otwarte drzwi kuzni. — Zaraz zleci sie tu cala wies. Konczmy z nim raz dwa, zabierajmy konie ze stajni i odjezdzajmy. Skad to sie bierze w was, ludziach, to zamilowanie do katowania, do zadawania meki? W dodatku niepotrzebnej? Dalej, koncz z nim.

Bladooki nie odwrócil glowy w strone vrana. Pochylil sie w siodle, naparl koniem na kowala.

— Wlaz — powiedzial. W jego bladych oczach tlila sie radosc mordercy. — Do srodka. Nie mam czasu, aby oprawic cie jak nalezy. Ale moge cie przynajmniej usmazyc.

Mikula zrobil krok do tylu. Na plecach czul zar plonacej kuzni, huczacej padajacymi ze stropu belkami. Jeszcze jeden krok. Potknal sie o cialo Czopa i o pret, który chlopak przewrócil, padajac.

Pret.

Kowal schylil sie blyskawicznie, ucapil ciezkie zelazo i nie prostujac sie, z dolu, z cala sila, jaka wyzwolila w nim nienawisc, cisnal pret prosto w piers bladookiego. Dlutowato wykute ostrze przebilo kolczuge. Mikula nie czekal, az czlowiek zwali sie z konia. Runal przed siebie, na skos przez podwórze. Za nim wrzask, tetent. Dopadl drewutni, wczepil sie palcami w klonice oparta o sciane, natychmiast, z pólobrotu, na slepo, uderzyl. Cios spadl prosto na pysk siwka w zielonym kropierzu. Kon stanal deba, zwalajac w pyl podwórka vrana ze sloncem na helmie. Mikula uchylil sie, krótka wlócznia huknela w sciane drewutni, zadygotala. Drugi vran, dobywajac miecza, spial konia, uchodzac przed swiszczacym zamachem klonicy. Trzej nastepni szarzowali, wrzeszczac, wywijajac bronia. Mikula steknal, otaczajac sie straszliwym mlyncem ciezkiego draga. Trafil cos, znowu konia, który zarzal i zatanczyl na tylnych nogach. Vran utrzymal sie w siodle.

Nad plotem, od strony lasu, przelecial kon, wyciagniety w skoku, zderzajac sie z siwkiem w zielonym kropierzu. Siwek sploszyl sie, targnal wodzami, przewracajac wysokiego vrana usilujacego go dosiasc. Mikula, nie wierzac wlasnym oczom, spostrzegl, ze nowy jezdziec rozdwaja sie — na pokurcza w kapturze, pochylonego nad konskim karkiem i na jasnowlosego mezczyzne z mieczem, siedzacego z tylu.

Dluga, waska klinga miecza opisala dwa pólkola, dwie blyskawice. Dwóch vranów zmiotlo z siodel, runeli na ziemie w oblokach kurzu. Trzeci, zapedzony az pod drewutnie, odwrócil sie ku dziwnej parze i dostal sztych pod brode, tuz ponad stalowy napiersnik. Ostrze miecza zalsnilo, na moment wyzierajac z karku. Jasnowlosy zesliznal sie z konia i przebiegl przez podwórze, odcinajac wysokiego vrana od jego wierzchowca. Vran dobyl miecza.

Piaty vran krecil sie posrodku podwórza, usilujac opanowac tanczacego konia, boczacego sie na plonaca kuznie. Ze wzniesionym berdyszem rozgladal sie, wahal. Wreszcie wrzasnal, uderzyl konia ostrogami i runal na pokurcza uczepionego konskiej grzywy. Mikula zobaczyl, jak malec odrzuca kaptur i zrywa z czola opaske, zorientowal sie, jak bardzo sie mylil. Dziewczyna wstrzasnela ruda grzywa wlosów i krzyknela niezrozumiale, wyciagajac dlon w strone szarzujacego vrana. Z jej palców trysnela cienka struzka swiatla jasnego jak rtec. Vran wyfrunal z siodla, zatoczyl w powietrzu luk i zwalil sie na piasek. Jego ubranie dymilo. Kon, bijac w ziemie wszystkimi czterema kopytami, rzal, trzasl lbem.

Wysoki vran ze sloncem na helmie cofal sie powoli przed jasnowlosym ku plonacej kuzni, zgarbiony, obie rece — w prawej miecz — wyciagajac przed siebie. Jasnowlosy przyskoczyl, scieli sie raz, drugi. Miecz vrana polecial w bok, a on sam, glowa do przodu, zawisl na przeszywajacym go ostrzu. Jasnowlosy cofnal sie, szarpnal, wyrwal klinge miecza. Vran upadl na kolana, przechylil sie, zaryl twarza w ziemie.

Jezdziec wysadzony z siodla blyskawica rudowlosej uniósl sie na czworaki, macal dookola w poszukiwaniu broni. Mikula otrzasnal sie z zaskoczenia, zrobil dwa kroki, wzniósl klonice i spuscil ja na kark powalonego. Chrupnela kosc.

— Niepotrzebnie — uslyszal tuz obok siebie.

Dziewczyna w meskim stroju byla piegowata i zielonooka. Na jej czole blyszczal dziwny klejnot.

— Niepotrzebnie — powtórzyla.

— Pani wielmozna — zajaknal sie kowal, trzymajac swój drag jak gwardzista halabarde. — Kuznia... Spalili. Chlopaka zabili, zasiekli. I Radima. Zasiekli, zbóje. Pani...

Jasnowlosy obrócil noga cialo wysokiego vrana, przyjrzal mu sie, po czym podszedl, chowajac miecz.

— No, Visenna — powiedzial. — Teraz to juz wmieszalem sie na dobre. Jedno, co mnie niepokoi, to czy aby porabalem tych, co trzeba.

— Tys jest kowal Mikula? — spytala Visenna, zadzierajac glowe.

— Ja. A wyscie z Druidzkiego Kregu, wielmozni? Z Mayeny?

Visenna nie odpowiedziala. Patrzyla na skraj lasu, na zblizajaca sie biegiem gromade ludzi.

— To swoi — rzekl kowal. — Z Klucza.

V

— Dostalim trzech! — grzmial czarnobrody przywódca grupy z Poroga, potrzasajac kosa osadzona na sztorc. — Trzech, Mikula! Za dziewkami na pola przygnali i tam my ich... Jeden ledwo zdolal ujsc, konia dopadl, psi syn!

Jego ludzie, stloczeni na polanie wewnatrz kregu ognisk znaczacych czern nocnego nieba punkcikami lecacych iskier, wrzeszczeli, pohukiwali, wymachiwali orezem. Mikula wzniósl rece, uciszal, chcac posluchac dalszych relacji.

— Do nas wczoraj z wieczora przyskakalo czterech — rzekl stary, chudy jak tyka soltys z Kaczana. — Po mnie. Musial ktos doniesc, zem sie z wami zgadywal, kowalu. Zdazylem na stryszek w stodole, drabine wciaglem, widly w garsc, chodzcie, wolam, psie krwie, no, który, wolam. Wzieli sie stodólke palic, juz by po mnie bylo, ale ludziska nie strzymali, poszli na nich kupa. Tamci w konie, przebili sie. Naszych paru padlo, ale jednego z siodla zmietlim.

— Zyw? — spytal Mikula. — Slalem wam, zeby którego zywym wziac.

— Eeee — zachnal sie tykowaty. — Nie zdazylim. Baby wziely wrzatku, podlecialy pierwsze...

— Zawszem mówil, ze w Kaczanie gorace baby — mruknal kowal, drapiac sie w kark. — A tego, co donosil?

— Znalezlim — krótko rzekl chudzielec, nie wdajac sie w szczególy.

— Dobrze. A teraz sluchajcie, gromada. Gdzie tamci siedza, wiemy juz. Na podgórzu, obok owczarskich szalasów, sa jamy w skale. Tamój zbóje zapadly i tam ich dostaniemy. Siana, chrustu wezmiem na wozy, wykurzymy ich jak borsuków. Droge zasiekiem zawalim, nie ujda. Takem z tym oto rycerzem, co sie zwie Korin, uradzil. A i mnie, jako wiecie, wojaczka nie pierwszyzna. Z wojewoda Grozimem na vranów chadzalem czasu wojny, zanim w Kluczu osiadlem.

Z cizby znów sie rozlegly bojowe okrzyki, ale szybko scichly przyduszone slowami, zrazu wypowiadanymi cicho, niepewnie. Potem coraz glosniej. Wreszcie zapadla cisza.

Visenna wysunela sie zza pleców Mikuli, stanela u boku kowala. Nie siegala mu nawet do ramienia. Tlum zaszemral. Mikula znowu uniósl obie dlonie.

— Przyszedl czas taki — zawolal — ze nie ma co dluzej w tajemnicy kryc, zem po pomoc poslal do druidów z Kregu, gdy komes z Mayeny pomocy nam odmówil. Nie nowina mi, ze mnodzy z was krzywo na to patrza.

Tlum ucichl z wolna, lecz wciaz falowal, pomrukiwal.

— Oto jest pani Visenna — rzekl Mikula wolno. — Z mayenskiego Kregu. Na pomoc nam pospieszyla na pierwsze wezwanie. Ci, co sa z Klucza, znaja ja juz, ludzi tam leczyla, uzdrawiala moca swoja. Tak, chlopy. Pani to malenka, ale moc jej wielka. Ponad zrozumienie nasze owa moc i straszna nam, ale przeciez ku pomocy nam posluzy!

Visenna nie odezwala sie ani slowem, nie przemówila ani nie uczynila zadnego gestu w strone zebranych. Ale ukryta moc tej malej piegowatej czarodziejki byla niewiarygodna. Korin ze zdumieniem poczul, ze przepaja go dziwny entuzjazm, ze obawa przed tym czyms, co kryje sie na przeleczy, obawa przed niewiadomym znika, rozwiewa sie, przestaje istniec, staje sie niewazna, tak dlugo, jak dlugo blyszczy swietlisty klejnot na czole Visenny.

— Tak tedy widzicie — ciagnal Mikula — ze i na owego koscieja sposób sie znajdzie. Nie sami idziemy, nie bezbronni. Ale wprzódy tamtych zbójów wybic mus nam!

— Mikula praw! — wrzasnal brodacz z Poroga. — Co nam, czary nie czary! Na przelecz, chlopy! Na pohybel kosciejowym!

Tlum huknal jednym glosem, plomien ognisk rozblysl na ostrzach wzniesionych kos, pik, siekier i widel.

Korin przedarl sie przez cizbe, wycofal pod las, odnalazl kociolek zawieszony nad ogniskiem, miske i lyzke. Wydrapal z dna kotla resztke przypalonej kaszy ze skwarkami. Usiadl, oparl miske na kolanach, jadl powoli, wypluwajac luski jeczmienia. Po chwili wyczul czyjas obecnosc.

— Siadaj, Visenna — powiedzial z pelnymi ustami.

Jadl dalej, zerkajac na jej profil, na wpól przysloniety kaskada wlosów czerwonych jak krew w blasku ognia. Visenna milczala, zapatrzona w plomienie.

— Hej, Visenna, czemu siedzimy jak dwa puszczyki? — Korin odstawil miske. — Ja tak nie moge, zaraz mi sie robi smutno i zimno. Gdzie oni schowali ten samogon? Dopiero co stal tu dzbanek, zaraza z nim. Ciemno jak w...

Druidka odwrócila sie ku niemu. Jej oczy swiecily dziwnym zielonkawym blaskiem. Korin zamilkl.

— Tak. Zgadza sie — powiedzial po chwili i odkaszlnal — Jestem zlodziej. Najemnik. Rabus. Wmieszalem sie, bo lubie bijatyki, wszystko mi jedno, z kim sie bije. Wiem, jaka jest cena jaspisu, jadeitu i innych kamieni, jakie jeszcze sie trafiaja w kopalniach Amell. Chce sie oblowic. Jest mi obojetne, ilu z tych ludzi jutro zginie. Co jeszcze chcesz wiedziec? Sam powiem, niepotrzebnie uzywasz tej blyskotki schowanej pod wezowa skórka. Nie zamierzam niczego ukrywac. Masz racje, nie pasuje ani do ciebie, ani do twojej szlachetnej misji. To wszystko. Dobranoc. Ide spac.

Wbrew slowom nie wstal. Chwycil tylko kij i dzgnal nim kilkakrotnie plonace glownie.

— Korin — rzekla Visenna cicho.

— Tak?

— Nie odchodz.

Korin spuscil glowe. Z brzozowego polana w ognisku buchaly niebieskawe gejzery plomienia. Spojrzal na nia, ale nie mógl zniesc widoku niesamowicie blyszczacych oczu. Odwrócil glowe w strone ognia.

— Nie wymagaj od siebie za wiele — powiedziala Visenna, owijajac sie plaszczem. — Tak juz jest, ze to, co nienaturalne, budzi strach. I wstret.

— Visenna...

— Nie przerywaj mi. Tak, Korin, ludzie potrzebuja naszej pomocy, sa za nia wdzieczni, czesto nawet szczerze, ale brzydza sie nami, boja sie nas, nie patrza nam w oczy, spluwaja za plecami. Madrzejsi, jak ty, sa mniej szczerzy. Nie jestes wyjatkiem, Korin. Od wielu juz slyszalam, ze nie sa dostatecznie godni, by siedziec ze mna przy jednym ognisku. A zdarza sie, ze to my potrzebujemy pomocy tych... normalnych. Albo ich towarzystwa.

Korin milczal.

— Wiem — ciagnela Visenna — ze byloby ci latwiej, gdybym miala siwa brode do pasa i haczykowaty nos. Wówczas wstret do mojej osoby nie powodowalby takiego zamieszania w twojej glowie. Tak, Korin, wstret. Ta blyskotka, która nosze na czole, to chalcedon... Jemu w duzej mierze zawdzieczam swoje zdolnosci magiczne. Masz racje, z pomoca chalcedonu udaje mi sie czytac co wyrazniejsze mysli. Twoje sa az nadto wyrazne. Nie wymagaj, zeby mi bylo z tego powodu przyjemnie. Jestem czarownica, wiedzma, ale oprócz tego kobieta. Przyszlam tu, bo chcialam sie z toba przespac.

— Visenna...

— Nie. Teraz juz nie chce.

Siedzieli w milczeniu. Pstrokaty ptak w glebi lasu, w ciemnosciach na galezi drzewa, czul strach. W lesie byly sowy.

— Z tym wstretem — odezwal sie wreszcie Korin — lekko przesadzilas. Przyznaje jednak, ze budzisz we mnie cos w rodzaju... niepokoju. Nie powinnas byla pozwolic, bym ogladal to wtedy, na rozstaju. Ten trup, wiesz?

— Korin — rzekla czarodziejka spokojnie. — Kiedy ty pod kuznia wbiles vranowi miecz w gardlo, ja o malo nie wyrzygalam sie na grzywe konia. Mialam klopoty z utrzymaniem sie w siodle. Ale zostawmy nasze specjalnosci w spokoju. Skonczmy rozmowe, która prowadzi donikad.

— Skonczmy, Visenna.

Czarodziejka szczelniej otulila sie plaszczem. Korin dorzucil do ogniska kilka szczap.

— Korin?

— Tak?

— Chcialabym, zeby przestalo byc ci obojetne, ilu ludzi jutro zginie. Ludzi i... I innych. Licze na twoja pomoc.

— Pomoge ci.

— To jeszcze nie wszystko. Zostaje sprawa przeleczy. Musze otworzyc droge przez Klamat.

Korin wskazal zarzacym sie koncem patyka inne ogniska i ulozonych przy nich ludzi, uspionych lub pograzonych w cichych rozmowach.

— Z nasza wspaniala armia — powiedzial — nie powinnismy z tym miec klopotów.

— Nasza armia zwieje do domów w momencie, w którym przestane ja otumaniac czarami — usmiechnela sie smutno Visenna. — A ja nie bede ich otumaniac. Nie chce, zeby którys z nich zginal w walce nie za swoja sprawe. A kosciej to nie jest ich sprawa, tylko sprawa Kregu. Musze isc sama na przelecz.

— Nie. Sama nie pójdziesz — rzekl Korin. — Pójdziemy tam razem. Ja, Visenna, od dziecka wiedzialem, kiedy nalezy uciekac, a kiedy jeszcze za wczesnie. Wiedze te doskonalilem przez lata praktyki i dzieki temu uchodze obecnie za odwaznego. Nie mam zamiaru narazac swojej opinii. Nie musisz mnie otumaniac czarami. Najpierw zobaczymy, jak ten kosciej wyglada. Nawiasem mówiac, wedlug ciebie, co to jest, ten kosciej?

Visenna pochylila glowe.

— Obawiam sie — szepnela — ze to jest smierc.

VI

Tamci nie dali sie zaskoczyc w jaskiniach. Czekali w siodlach, nieruchomi, wyprostowali, wpatrzeni w wychodzace z lasu szeregi uzbrojonych chlopów. Wiatr targajacy ich plaszczami upodabnial ich do wychudlych drapieznych ptaków o postrzepionych piórach, groznych, budzacych respekt i strach.

— Osiemnastu — policzyl Korin, stajac w strzemionach. — Wszyscy konno. Szesc luzaków. Jeden wóz. Mikula!

Kowal szybko przeformowal swój oddzial. Uzbrojeni w piki i oszczepy przyklekli na skraju zarosli, wbijajac tylce broni w ziemie. Lucznicy wybrali pozycje za drzewami. Reszta wycofala sie w gaszcz.

Jeden z jezdzców ruszyl w ich strone, zblizyl sie. Wstrzymal konia, uniósl reke nad glowe, cos krzyknal.

— Podstep — mruknal Mikula. — Znam ich, psich synów.

— Przekonamy sie — rzekl Korin, zeskakujac z kulbaki. — Chodz.

Wolno podeszli do konnego, we dwu. Po chwili Korin spostrzegl, ze Visenna idzie za nimi.

Jezdziec byl bobolakiem.

— Bede mówil krótko — zawolal, nie zsiadajac z konia. Jego male blyszczace oczka migotaly wpól skryte w futrze porastajacym twarz. — Jestem obecnym dowódca grupy, która tam widzicie. Dziewieciu bobolaków, pieciu ludzi, trzech vranów, jeden elf. Reszta nie zyje. Doszlo miedzy nami do nieporozumien. Nasz byly przywódca, którego pomysly tutaj nas sprowadzily, jest tam w jaskini, zwiazany. Zrobicie z nim, co zechcecie. My chcemy odjechac.

— W rzeczy samej mowa byla krótka — parsknal Mikula. — Wy chcecie odjechac. A my chcemy wypruc z was flaki. Co ty na to?

Bobolak blysnal szpiczastymi zebami, prostujac w siodle swa malenka postac.

— Myslisz, ze paktuje ze strachu przed wami, przed wasza banda zasranców w slomianych lapciach? Prosze bardzo, jesli chcecie, przejedziemy wam po brzuchach. To nasze rzemioslo, chlopie. Wiem, czym ryzykujemy. Nawet jesli czesc padnie, reszta przejedzie. Takie jest zycie.

— Wóz nie przejedzie — wycedzil Korin. — Takie jest zycie.

— Mamy to wkalkulowane.

— Co jest na wozie?

Bobolak splunal przez prawe ramie.

— Jedna dwudziesta tego, co zostalo w jaskini. I zeby wszystko bylo jasne: kazecie zostawic wóz, nie ma zgody. Jezeli mamy wyjsc z tej hecy bez profitu, to wolimy ze swiadomoscia, ze nie bez walki. No, jak bedzie? Jezeli mamy sie bic, to wole teraz rano, zanim slonko nie zacznie przypiekac.

— Smialy jestes — powiedzial Mikula.

— Wszyscy tacy w mojej rodzinie.

— Puscimy was, jesli zlozycie bron.

Bobolak splunal ponownie, dla odmiany przez lewe ramie.

— Nic z tego — warknal krótko.

— Tu cie boli — zasmial sie Korin. — Bez broni jestescie smiecie.

— A ty czym jestes bez broni? — zapytal karzel bez emocji. — Królewiczem? Przeciez widze, cos za jeden. Myslisz, ze jestem slepy?

— Z bronia gotowiscie jutro wrócic — powiedzial wolno Mikula. — Chocby po reszte tego, co zostalo w jaskini, jako powiadasz. Po jeszcze wiekszy profit.

Bobolak wyszczerzyl zeby.

— Byla taka koncepcja. Ale zrezygnowalismy z niej po krótkiej dyskusji.

— Bardzo slusznie — rzekla nagle Visenna, wysuwajac sie przed Korina, stajac tuz przed konnym. — Bardzo slusznie, ze zrezygnowaliscie, Kehl.

Korinowi wydalo sie, ze wiatr raptownie sie wzmógl, zawyl wsród skal i traw, uderzyl zimnem. Visenna mówila dalej nie swoim, metalicznym glosem:

— Kazdy z was, który spróbuje tu wrócic, umrze. Widze to i przepowiadam. Odejdzcie stad natychmiast. Natychmiast. Zaraz. Kazdy, kto spróbuje wrócic, umrze.

Bobolak pochylil sie, spojrzal na czarodziejke znad konskiego karku. Nie byl mlody — futro mial juz prawie popielate, upstrzone bialymi kosmykami.

— To ty? Tak myslalem. Rad jestem, ze... Mniejsza z tym. Powiedzialem, ze nie zamierzam tu wracac. Dolaczylismy do Fregenala dla zarobku. To sie skonczylo. Teraz mamy na karku Krag i cale wsie, a Fregenal zaczal bredzic o wladzy nad swiatem. Mamy dosc i jego, i tego straszydla z przeleczy.

Szarpnal wodzami, obrócil konia.

— Po co ja to mówie? Odchodzimy. Bywajcie w zdrowiu.

Nikt mu nie odpowiedzial. Bobolak zawahal sie, spojrzal na skraj lasu, potem obejrzal sie na nieruchomy szereg swoich jezdzców. Znowu pochylil sie w siodle i zajrzal w oczy Visenny.

— Bylem przeciwny zamachowi na ciebie — powiedzial. — Teraz widze, ze slusznie. Jesli ci powiem, ze kosciej to smierc, to i tak pójdziesz na przelecz, prawda?

— Prawda.

Kehl wyprostowal sie, krzyknal na konia, pocwalowal do swoich. Po chwili konni formujac kolumne, otaczajac wóz, ruszyli w strone drogi. Mikula juz byl przy swoich, perorowal, uspokajal brodacza z Poroga oraz innych, zadnych krwi i zemsty. Korin i Visenna w milczeniu obserwowali mijajacy ich oddzial. Tamci jechali wolno, patrzac przed siebie, demonstrujac spokój i zimna pogarde. Jedynie Kehl, mijajac ich, uniósl lekko dlon w pozegnalnym gescie, z dziwnym grymasem na twarzy przypatrujac sie Visennie. Potem raptownie poderwal konia, popedzil na czolo kolumny, zniknal wsród drzew.

VII

Pierwszy trup lezal przy samym wejsciu do pieczar, stlamszony, wcisniety miedzy worki z owsem i kupe chrustu. Korytarz rozwidlal sie, tuz za rozwidleniem lezaly nastepne dwa — jeden prawie zupelnie pozbawiony glowy uderzeniem maczugi lub obucha, drugi pokryty zakrzepla krwia z licznych ran. Wszyscy byli ludzmi.

Visenna zdjela opaske z czola. Z diademu emanowal blask jasniejszy od swiatla pochodni, oswietlajac mroczne wnetrze jamy. Korytarz wwiódl ich do wiekszej pieczary. Korin zagwizdal cichutko przez zeby. Pod scianami staly skrzynie, worki i beczki, pietrzyly sie stosy konskiej uprzezy, bele welny, bron, narzedzia. Kilka skrzyn bylo rozbitych i pustych. Inne byly pelne. Przechodzac, Korin widzial matowozielone grudki jaspisów, ciemne odlamki jadeitu, agaty, opale, chryzoprazy i inne kamienie, których nie znal. Na kamiennym podlozu, skrzacym sie gdzieniegdzie porozrzucanymi punkcikami zlotych, srebrnych i miedzianych monet, lezaly, cisniete bezladnie, peki futer — bobrów, rysi, lisów, rosomaków.

Visenna, nie zatrzymujac sie nawet na chwile, zmierzala do dalszej kawerny, znacznie mniejszej, mrocznej. Korin podazyl za nia.

— Tutaj jestem — odezwal sie ciemny, niewyrazny ksztalt, lezacy na stosie szmat i skór pokrywajacych ziemie.

Zblizyli sie. Skrepowany czlowiek byl niski, lysy, otyly. Ogromny siniak pokrywal mu polowe twarzy.

Visenna dotknela diademu, chalcedon na sekunde rozblysnal jasniejszym swiatlem.

— To niepotrzebne — rzekl skrepowany. — Znam cie. Zapomnialem, jak cie nazywali. Wiem, co masz na czole. To niepotrzebne, mówie. Napadli mnie podczas snu, zabrali mój pierscien, zniszczyli rózdzke. Jestem bezsilny.

— Fregenal — powiedziala Visenna. — Zmieniles sie.

— Visenna — mruknal grubas. — Przypomnialem sobie. Myslalem, ze to bedzie mezczyzna, dlatego poslalem Manisse. Z mezczyzna moja Manissa poradzilaby sobie.

— Nie poradzila sobie — pochwalil sie Korin, patrzac dookola. — Chociaz trzeba oddac nieboszczce sprawiedliwosc. Starala sie, jak mogla.

— Szkoda.

Visenna rozejrzala sie po jaskini, pewnym krokiem skierowala sie do kata, czubkiem buta odwrócila kamien, z jamki pod nim wydobyla gliniany garnuszek zawiazany natluszczona skóra. Rozciela rzemyk swoim zlotym sierpem, wyciagnela zwój pergaminu. Fregenal przygladal sie jej zlowrogo.

— Prosze, prosze — powiedzial drzacym ze zlosci glosem. — Co za talent, pogratulowac. Umiemy znajdowac ukryte rzeczy. Co jeszcze umiemy? Wrózyc z baranich kiszek? Leczyc wzdecie u jalówek?

Visenna przegladala karte po karcie, nie zwracajac na niego uwagi.

— Ciekawe — rzekla po chwili. — Jedenascie lat temu, kiedy wypedzono cie z Kregu, zginely pewne strony z Zakazanych Ksiag. Dobrze, ze sie znalazly i to wzbogacone komentarzem. Ze tez odwazyles sie zastosowac Podwójny Krzyz Alzura, no, no. Nie sadze, zebys nie pamietal, jak skonczyl Alzur. Kilka jego stworów podobno jeszcze krazy po swiecie, w tym równiez ten ostatni: wij, który zmasakrowal go i zniszczyl pól Mariboru, zanim nie uciekl w lasy na Zarzeczu. — Zlozyla kilka pergaminów na czworo, schowala do kieszeni na bufiastym rekawie kaftana. Rozwinela nastepne.

— Aha — powiedziala, marszczac czolo. — Wzór Drzewokorzenia, nieznacznie zmieniony. A tutaj Trójkat w Trójkacie, sposób na wywolanie serii mutacji i ogromnego przyrostu masy ciala. A cóz to posluzylo ci za stworzenie wyjsciowe, Fregenal? Co to jest? Wyglada jak zwykly spawek. Fregenal, czegos tu brakuje. Wiesz, o czym mówie, mam nadzieje?

— Ciesze sie, ze zauwazylas — wykrzywil sie czarownik. — Zwykly spawek, powiadasz? Kiedy ten zwykly spawek wyjdzie z przeleczy, swiat oniemieje ze zgrozy. Na chwile. A potem zacznie krzyczec.

— Dobrze, dobrze. Gdzie sa zaklecia, których tu brakuje?

— Nigdzie. Nie chcialem, by dostaly sie w niewlasciwe rece. Zwlaszcza w wasze. Wiem, ze caly Krag marzy o wladzy, jaka mozna miec dzieki nim, ale nic z tego. Nigdy nie uda sie wam stworzyc niczego chocby w polowie tak groznego jak mój kosciej.

— Zdaje sie, ze bito cie po glowie, Fregenal. — powiedziala Visenna spokojnie. — I temu tez nalezy przypisac, ze nie odzyskales jeszcze zdolnosci myslenia. Kto tu mówi o tworzeniu? Twojego potwora trzeba bedzie zniszczyc, unicestwic. Prostym sposobem, rewersujac wiazace zaklecie, to znaczy Efektem Zwierciadla. Oczywiscie wiazace zaklecie bylo dostrojone do twojej rózdzki, wiec trzeba bedzie przestroic je na mój chalcedon.

— Duzo tych «trzeba bedzie» — warknal grubas. — Mozesz tu siedziec i trzeba bedzic do sadnego dnia, moja ty przemadrzala panno. Skad smieszny pomysl, ze zdradze ci wiazace zaklecie? Nie wyciagniesz ze mnie nic, ani zywego, ani umarlego. Mam blokade. Nie wybaluszaj sie na mnie tak, bo ten kamyk przepali ci czolo. Jazda, rozwiazcie mnie, bo zdretwialem.

— Chcesz, to kopne cie pare razy. — Korin usmiechnal sie. — To ci pobudzi krazenie. Zdaje sie, ze nie pojmujesz swojego polozenia, lysa palo. Za chwile wpadna tu chlopi, którym mocno dopiekles i rozerwa cie na sztuki czwórka koni. Widziales kiedys, jak to sie odbywa? Najpierw urywaja sie rece.

Fregenal naprezyl kark, wybaluszyl oczy i spróbowal napluc Korinowi na buty, ale z pozycji, w jakiej sie znajdowal, bylo to trudne — obryzgal sobie tylko brode.

— Tyle — parsknal — tyle sobie robie z waszych grózb! Nie zrobicie mi nic! Co ty sobie wyobrazasz, wlóczego? Wpadles w srodek spraw, które cie przerastaja! Zapytaj jej, po co tu jest! Visenna! Uswiadom go, zdaje sie, ze uwaza cie za szlachetna wybawczynie uciemiezonych, bojowniczke o dobrobyt biedaków! A tu idzie o pieniadze, kretynie! O ciezkie pieniadze!

Visenna milczala. Fregenal wyprezyl sie, skrzypiac powrozami, z wysilkiem przewrócil sie na bok, zginajac nogi w kolanach.

— Moze to nieprawda — wrzasnal — ze Krag przyslal cie tu, bys odkrecila zloty kurek, z którego przestalo ciec?! Bo Krag czerpie zyski z wydobycia jaspisu i jadeitu, pobiera haracz od kupców i karawan w zamian za ochronne amulety, które jednak, jak sie okazalo, nie dzialaja na mojego koscieja!

Visenna nie odezwala sie. Nie patrzyla na zwiazanego. Patrzyla na Korina.

— Aha! — zawolal czarownik. — Nawet nie zaprzeczasz! A wiec to juz wiedza ogólnie dostepna. Dawniej wiedziala o tym tylko starszyzna, a smarkaczy takich jak ty utrzymywalo sie w przekonaniu, ze Krag jest powolany tylko do walki ze zlem. Nie dziwi mnie to. Swiat sie zmienia, ludzie powoli zaczynaja rozumiec, ze bez czarów i czarowników mozna sie obejsc. Ani sie obejrzycie, jak bedziecie bezrobotni, zmuszeni zyc z tego, coscie do tej pory nakradli. Nic was nie obchodzi, tylko zyski. Dlatego tez rozwiazecie mnie natychmiast. Nie zabijecie mnie ani nie wydacie na smierc, bo naraziloby to Krag na dalsze straty. A tego Krag wam nie daruje, to jasne.

— To nie jest jasne — rzekla zimno Visenna, splatajac rece na piersi. — Widzisz, Fregenal, smarkate, takie jak ja, nie zwracaja zbytniej uwagi na dobra doczesne. Co mi tam, czy Krag straci, czy zyska, czy w ogóle przestanie istniec. Zawsze moge utrzymac sie z leczenia wzdecia u jalówek. Albo impotencji u takich grzybów jak ty. Ale to nie jest wazne. Wazne jest to, ze chcesz zyc, Fregenal, i z tego to powodu mielesz ozorem. Kazdy chce zyc. Dlatego zaraz, tu, na miejscu, zdradzisz mi wiazace zaklecie. Potem pomozesz mi odnalezc tego koscieja i zniszczyc go. A jesli nie... Cóz, pójde sobie do lasu, pospaceruje. Potem bede mogla powiedziec w Kregu, ze nie upilnowalam rozwscieczonych chlopów.

— Zawsze bylas cyniczna — czarownik zazgrzytal zebami. — Nawet wtedy, w Mayenie. Zwlaszcza w kontaktach z mezczyznami. Mialas czternascie lat, a juz wiele sie mówilo o twoich...

— Przestan, Fregenal — przerwala druidka. — To, co mówisz, nie robi na mnie zadnego wrazenia. Na nim tez nie. Nie jest moim kochankiem. Powiedz, ze sie zgadzasz. I konczmy z ta zabawa. Bo przeciez sie zgadzasz!

Fregenal lypnal bialkami oczu, odwrócil glowe.

— Pewnie, ze tak — wycharczal. — Masz mnie za idiote? Kazdy chce zyc.

VIII

Fregenal zatrzymal sie, wierzchem dloni otarl spocone czolo.

— Tam, za ta skala, zaczyna sie wawóz. Na starych mapach oznaczony jest jako Dur-tan-Orit, Mysi Jar. To brama Klamatu. Tutaj musimy zostawic konie. Konno nie mamy najmniejszej szansy, by podejsc do niego niepostrzezenie.

— Mikula — rzekla Visenna, zsiadajac. — Zaczekajcie tutaj do wieczora, nie dluzej. Jezeli nie wróce, nie chodzcie na przelecz pod zadnym pozorem. Wracajcie do domów. Zrozumiales, Mikula?

Kowal pokiwal glowa. Bylo z nim juz tylko czterech wiesniaków. Najodwazniejszych. Reszta oddzialu stopniala po drodze niby snieg w maju.

— Zrozumialem, pani — mruknal, lypiac okiem na Fregenala. — Wszelako dziwno mi, ze temu przekletnikowi ufacie. Po mojemu, chlopi racje mieli. Leb mu urwac trzeba bylo. Popatrzcie tylko, pani, na te swinskie oczka, na te morde zdradziecka.

Visenna nie odpowiedziala. Przysloniwszy oczy dlonia, patrzyla na góry, na wejscie do wawozu.

— Prowadz, Fregenal — skomenderowal Korin, podciagajac pas.

Ruszyli.

Po pól godzinie marszu zobaczyli pierwszy wóz, przewrócony, rozbity. Za nim drugi, ze zlamanym kolem. Szkielety koni. Szkielet czlowieka. Drugi. Trzeci. Czwarty. Stos. Stos polamanych, pokruszonych kosci.

— Ty sukinsynu — rzekl Korin cicho, patrzac na czaszke, przez oczodoly której przedzieraly sie juz lodygi pokrzyw. — To kupcy, tak? Nie wiem, co mnie powstrzymuje, by...

— Umawialismy sie... — przerwal Fregenal pospiesznie. — Umawialismy sie. Powiedzialem wam wszystko, Visenna. Pomagam wam. Prowadze was. Umawialismy sie!

Korin splunal. Visenna spojrzala na niego, blada, potem odwrócila sie w strone czarownika.

— Umawialismy sie — potwierdzila. — Pomozesz mi go odnalezc i zniszczyc, potem pójdziesz swoja droga. Twoja smierc nie przywróci do zycia tych, którzy tu leza.

— Zniszczyc, zniszczyc... Visenna, ostrzegam cie jeszcze raz i powtarzam: wprowadz go w letarg, sparalizuj, znasz zaklecia. Ale nie niszcz go. On jest wart majatek. Zawsze mozesz...

— Przestan, Fregenal. Rozmawialismy juz o tym. Prowadz.

Poszli dalej, ostroznie omijajac szkielety.

— Visenna — sapnal Fregenal po chwili. — Zdajesz sobie sprawe z ryzyka? To nie przelewki. Wiesz, z Efektem Zwierciadla bywa róznie. Jezeli inwersja nie podziala, bedzie po nas. Widzialem, co on potrafi.

Visenna zatrzymala sie.

— Nie krec — powiedziala. — Za kogo ty mnie masz? Inwersja podziala, jezeli...

— Jezeli nas nie oszukales — wtracil Korin glosem gluchym z wscieklosci. — A jesli nas oszukales... Mówiles, ze widziales, co potrafi twój potwór. A czy wiesz, co ja potrafie? Znam takie ciecie, po którym cietemu zostaje jedno ucho, jeden policzek i pól szczeki. Mozna to przezyc, ale nie mozna juz potem, miedzy innymi, grac na flecie.

— Visenna, uspokój tego morderce — wybelkotal Fregenal, pobladly. — Wyjasnij mu, ze nie moglem cie oklamac, ze wyczulabys...

— Nie gadaj tyle, Fregenal. Prowadz.

Dalej zobaczyli nastepne wozy. I nastepne szkielety. Pomieszane, splatane, bielejace w trawie klatki zeber, sterczace z rozpadlin piszczele, upiornie usmiechniete czaszki. Korin milczal, sciskajac rekojesc miecza w spoconej dloni.

— Uwazajcie — sapnal Fregenal. — Jestesmy blisko. Idzcie cicho.

— Z jakiej odleglosci on reaguje? Fregenal, mówie do ciebie.

— Dam ci znak.

Poszli dalej, ogladajac sie na sciany wawozu, strome, porosniete pokracznymi kikutami krzaków, poznaczone smugami zlebów i osypisk.

— Visenna? Wyczuwasz go juz?

— Tak. Ale niewyraznie. Jaka odleglosc, Fregenal?

— Dam ci znak. Szkoda, ze nie moge ci pomóc. Bez rózdzki i pierscienia nie moge nic zrobic. Jestem bezsilny. Chyba ze...

— Chyba ze co?

— To!

Z szybkoscia, o jaka trudno go bylo podejrzewac, grubas porwal z ziemi kanciasty odlamek skaly i uderzyl Visenne w tyl glowy. Druidka padla bez jeku, twarza w dól. Korin zamachnal sie dobytym mieczem, ale czarownik byl niewiarygodnie zwinny. Padl na czworaki, unikajac ostrza, przekoziolkowal pod nogami Korina i kamieniem, którego nie wypuscil z reki, grzmotnal go w kolano. Korin zawyl, upadl, ból na moment pozbawil go oddechu, a potem fala mdlosci runal z trzewi do gardla. Fregenal zerwal sie jak kot, zamierzajac sie do powtórnego uderzenia.

Pstrokaty ptak spadl z góry jak pocisk, ocierajac sie o twarz czarownika. Fregenal odskoczyl, machajac rekami, upuscil kamien. Korin, wsparty na lokciu, cial mieczem, o wlos chybiajac lydke grubasa, ten zas odwrócil sie i pomknal z powrotem w strone Mysiego Jaru, wrzeszczac i rechoczac. Korin próbowal wstac i scigac go, ale próba uniesienia sie z ziemi zmroczyla mu oczy ciemnoscia. Upadl znowu, ciskajac za czarownikiem stek obrzydliwych wyzwisk.

Fregenal w bezpiecznej odleglosci obejrzal sie, zatrzymal.

— Ty niewydarzona wiedzmo! — zaryczal. — Ty ryza paskudo! Chcialas przechytrzyc Fregenala? Laskawie darowac mi zycie? Myslalas, ze bede spokojnie patrzyl, jak go zabijasz?

Korin, nie przestajac klac, masowal kolano, uspokajal tetniacy ból. Visenna lezala bez ruchu.

— Idzie! — wrzasnal Fregenal. — Patrzcie! Cieszcie sie tym widokiem, bo juz za chwile mój kosciej wydusi wam oczy z czaszek! Juz idzie!

Korin obejrzal sie. Zza skalnego rumowiska, oddalonego o jakies sto kroków, wyjrzaly gruzlowate stawy zgietych pajeczych nóg. Po chwili przez kupe kamieni z grzechotem przetoczyl sie co najmniej szesciometrowej srednicy tulów, plaski jak talerz, ziemistordzawy, kostropaty, pokryty kolczastymi wyrostkami. Cztery pary nóg postepowaly miarowo, wlokac misowaty korpus przez piarg. Piata, pierwsza para odnózy, nieproporcjonalnie dlugich, uzbrojona byla w potezne racze kleszcze, najezone rzedami ostrych kolców i rogów.

To sen, przelecialo przez glowe Korina. To koszmar. Obudzic sie. Wrzasnac i obudzic sie. Wrzasnac. Wrzasnac. Wrzasnac.

Zapominajac o bolacym kolanie, przyskoczyl do Visenny, targnal jej bezwladnym ramieniem. Wlosy druidki przesiakniete byly krwia, juz splywajaca po karku.

— Visenna... — wykrztusil przez sparalizowane strachem gardlo. — Visenna...

Fregenal wybuchnal oblakanczym rechotem, dudniacym echem o sciany wawozu. Smiech zagluszyl kroki Mikuli, nadbiegajacego chylkiem, z toporem w garsci. Fregenal spostrzegl sie, gdy bylo juz za pózno. Topór ugodzil go w krzyz, nieco powyzej bioder i wbil sie az po obuch. Czarownik z rykiem bólu runal na ziemie, wyrywajac stylisko z rak kowala. Mikula przydepnal go, wyrwal berdysz, zamachnal sie powtórnie. Glowa Fregenala stoczyla sie po pochylosci i znieruchomiala, oparta czolem o jedna z czaszek lezacych pod kolami rozbitego wozu.

Korin kusztykal, potykajac sie na kamieniach, wlokac Visenne, bezwladna i miekka. Mikula przyskoczyl do nich, chwycil dziewczyne, bez wysilku zarzucil ja sobie na ramie i pobiegl. Korin, choc wyzwolony z ciezaru, nie mógl nadazyc. Zerknal przez ramie. Kosciej sunal ku niemu, skrzypiac stawami, wyciagniete kleszcze rozczesywaly rzadka trawe, chrobotaly o glazy.

— Mikula! — wrzasnal Korin rozpaczliwie.

Kowal obejrzal sie, zlozyl Visenne na ziemi, podbiegl do Korina, wsparl go, razem pobiegli. Kosciej przyspieszyl, unoszac kolczaste lapy.

— Nie damy rady — sapnal Mikula, ogladajac sie. — Nie ujdziemy...

Dopadli do Visenny, lezacej na wznak.

— Wykrwawi sie — jeknal Mikula.

Korin przypomnial sobie. Zerwal z paska Visenny jej sakiewke, wyrzucal zawartosc, nie zwracajac uwagi na inne przedmioty, chwycil rdzawy, pokryty runicznymi znakami mineral, rozgarnal rude, zmoczone krwia wlosy, przycisnal hematyt do rany. Krew momentalnie przestala plynac

— Korin! — wrzasnal Mikula.

Kosciej byl blisko. Szeroko rozpostarl lapy, zebate szczypce rozwarly sie. Mikula widzial obracajace sie na slupkach oczy potwora i zgrzytajace pod nimi pólksiezycowate szczeki. Pelznac, kosciej syczal rytmicznie: «Tss, tss, tss...»

— Korin!

Korin nie reagowal, szeptal cos, nie odrywajac hematytu od rany. Mikula dopadl go, szarpnal za ramie, oderwal od Visenny, porwal druidke w ramiona. Pobiegli. Kosciej, ani na moment nie przestajac syczec, uniósl lapy, zazgrzytal po skale chitynowym brzuchem i szparko pomknal za nimi. Mikula zorientowal sie, ze nie maja szans.

Od strony Mysiego Jaru pedzil w karkolomnym galopie jezdziec w skórzanym kubraku, w misiurce z zelaznych kólek, ze wzniesionym nad glowa szerokim mieczem. W kosmatej twarzy plonely male oczka, blyskaly szpiczaste zeby.

Z bojowym okrzykiem Kehl runal na koscieja. Zanim jednak dopadl potwora, straszliwe lapy zwarly sie, chwytajac konia w kolczaste kleszcze. Bobolak wylecial z siodla, poturlal sie po ziemi.

Kosciej bez widocznego wysilku uniósl konia w kleszczach i nabil go na ostry szyp sterczacy mu z przodu tulowia. Sierpowate zuchwy klapnely, krew zwierzecia bluznela na kamienie, z rozcietego brzucha buchnely na ziemie parujace wnetrznosci.

Mikula podskoczyl, podniósl z ziemi bobolaka, ten jednak odepchnal go, porwal miecz, wrzasnal tak, ze zagluszyl przedsmiertne kwiki konia i skoczyl na koscieja. Z malpia zrecznoscia przesliznal sie pod koscistym lokciem potwora i cial z calej sily prosto w slupkowate oko. Kosciej zasyczal, puscil konia, rozrzucil lapy na boki, zawadzajac Kehla ostrymi kolcami, poderwal go z ziemi, cisnac w bok, na piarg. Kehl zwalil sie na skaly, wypuszczajac miecz. Kosciej wykonal pólobrót, siegnal szczypcami i capnal go. Mala figurka bobolaka zawisla w powietrzu.

Mikula ryknal wsciekle, w dwóch skokach dopadl potwora, zamachnal sie i rabnal berdyszem po chitynowym karapaksie. Korin, porzucajac Visenne, bez zastanowienia przyskoczyl z drugiej strony, trzymany oburacz miecz z rozmachem wpakowal w szczeline pomiedzy pancerzem a lapa. Napierajac piersia na rekojesc, wepchnal ostrze az po jelec. Mikula steknal i uderzyl jeszcze raz, pancerz pekl, trysnela zielona cuchnaca ciecz. Kosciej zasyczal, puscil bobolaka, uniósl kleszcze. Korin zaparl sie nogami w ziemie, szarpnal za rekojesc miecza, bez skutku.

— Mikula! — krzyknal. — Do tylu!

Obaj rzucili sie do ucieczki, sprytnie, bo w dwie rózne strony. Kosciej zawahal sie, zgrzytnal brzuchem po skale i ruszyl szybko przed siebie, prosto na Visenne, która z glowa zwieszona miedzy ramionami usilowala podniesc sie na czworaki. Tuz nad nia, w powietrzu zawisl pstrokaty ptak, bijac skrzydlami, krzyczac, krzyczac, krzyczac...

Kosciej byl blisko.

Obaj, Mikula i Korin, skoczyli jednoczesnie, zagradzajac droge potworowi.

— Visenna!

— Pani!

Kosciej, nie zatrzymujac sie, rozcapierzyl lapska.

— Na bok! — krzyknela Visenna na kolanach, unoszac rece. — Korin! Na bok!

Odskoczyli obaj, przypadajac do scian wawozu.

— Henenaa fireaoth kerelanth! — krzyknela przerazliwie czarodziejka, wyrzucajac rece w kierunku koscieja. Mikula spostrzegl, jak cos niewidzialnego sunie od niej ku potworowi. Trawa slala sie po ziemi, a drobne kamienie toczyly sie na boki, jak gdyby rozgniatane ciezarem ogromnej kuli, pedzacej z rosnaca predkoscia. Z dloni Visenny trysnela oslepiajaco jasna, zygzakowata smuga swiatla, uderzyla w koscieja, rozmazala sie po pancerzu siatka jezyków ognia. Powietrze rozpeklo sie w ogluszajacym huku. Kosciej eksplodowal, wybuchnal zielona fontanna posoki, kurzawa odlamków chityny, nóg, wnetrznosci, wszystko to wylecialo w góre, gradem sypnelo sie dookola, zadudnilo o skaly, zaszelescilo po zaroslach. Mikula przykucnal, oburacz zaslaniajac glowe.

Bylo cicho. W miejscu, na którym przed chwila stal potwór, czernial i dymil okragly lej, zbryzgany zielona ciecza, uslany ohydnymi, trudnymi do rozpoznania, drobnymi fragmentami.

Korin, ocierajac twarz z zielonych plam, pomógl Visennie wstac z ziemi. Visenna drzala.

Mikula pochylil sie nad Kehlem. Bobolak mial otwarte oczy. Gruby kubrak z konskiej skóry pociety byl na strzepy, pod którymi widac bylo to, co zostalo z ramienia i barku. Kowal chcial cos powiedziec, ale nie zdolal. Podszedl Korin, podtrzymujac Visenne. Bobolak odwrócil glowe w ich strone. Korin popatrzyl na jego ramie i z trudem przelknal sline.

— To ty, królewiczu — rzekl Kehl cicho, ale spokojnie i wyraznie. — Miales racje... Bez broni jestem smiec. A bez reki? Chyba gówno, co?

Spokój bobolaka przerazil Korina bardziej niz widok zmiazdzonych kosci wyzierajacych z potwornych ran. To, ze karzel wciaz zyl, bylo niewyobrazalne.

— Visenna — szepnal Korin, patrzac na czarodziejke blagalnie.

— Nie dam rady, Korin — powiedziala Visenna lamiacym sie glosem. — Metabolizm calkowicie odmienny od ludzkiego... Mikula... Nie dotykaj go...

— Wróciles, bobolaku — szepnal Mikula. — Dlaczego?

— Bo mój metabolizm jest odmienny... od ludzkiego — rzekl Kehl z duma w glosie, choc juz z wyraznym wysilkiem. Struzka krwi wyplynela mu z ust, plamiac popielate futro. Odwrócil glowe, spojrzal w oczy Visenny.

— No, ruda wiedzmo! Przepowiedzialas trafnie, ale spelnic przepowiednie musisz sama.

— Nie! — jeknela Visenna.

— Tak — rzekl Kehl. — Tak trzeba. Pomóz mi! Juz czas.

— Visenna — westchnal Korin z wyrazem przerazenia na twarzy. — Ty chyba nie zamierzasz....

— Odejdzcie! — krzyknela druidka, powstrzymujac lkanie. — Odejdzcie obaj!

Mikula, patrzac w bok, pociagnal Korina za ramie. Korin poddal sie. Zobaczyl jeszcze, jak Visenna kleka nad bobolakiem, delikatnie gladzi go po czole, dotyka skroni. Kehl drgnal, zadygotal, wyprezyl sie i zastygl nieruchomy.

Visenna plakala.

IX

Pstrokaty Ptak, siedzacy na ramieniu Visenny, przekrzywil plaski lebek, wlepil w czarodziejke okragle, nieruchome oko. Kon czlapal wyboistym goscincem, niebo bylo kobaltowe i czyste.

— Tuuit tuiit trk — powiedzial Pstrokaty Ptak.

— Mozliwe — zgodzila sie Visenna. — Ale nie o to chodzi. Nie zrozumiales mnie. Nie mam pretensji. Przykro mi, ze o calej sprawie dowiedzialam sie dopiero od Fregenala, a nie od ciebie, to fakt. Ale znam cie przeciez od lat, wiem, ze nie jestes gadatliwy. Sadze, ze gdybym zapytala wprost, odpowiedzialbys.

— Trk, tuuuit?

— Jasne. Juz od dawna. Ale sam wiesz, jak u nas jest. Jedna wielka tajemnica, wszystko tajne, sekretne. A zreszta to tylko kwestia skali. Ja tez nie odmawiam przyjecia zaplaty za leczenie, jesli ktos mi ja wpycha, a wiem, ze go stac. Wiem, ze za pewnego rodzaju uslugi Krag zada wysokich oplat. I slusznie, wszystko drozeje, a zyc trzeba. Nie o to chodzi.

— Twwiiit. — Ptak przestapil z nózki na nózke. — Korriiin.

— Domyslny jestes — usmiechnela sie cierpko Visenna, pochylajac glowe w strone Ptaka, pozwalajac, by lekko dotknal dziobkiem jej policzka. — Tym wlasnie jestem rozgoryczona. Widzialam, jak na mnie spogladal. Nie dosc, ze wiedzma, myslal pewnie, to jeszcze i obludna kombinatorka, chciwa i wyrachowana.

— Tuwiit trk trk trk tuuiiit?

Visenna odwrócila glowe.

— No, az tak zle nie jest — mruknela, mruzac oczy. — Nie jestem, jak wiesz, dziewczynka, nie trace glowy tak latwo. Chociaz trzeba przyznac... Za dlugo wlócze sie samotnie po... Ale to nie twoja sprawa. Pilnuj swego dzioba.

Ptak milczal, stroszac piórka. Las byl coraz blizej, widac bylo droge, znikajaca w gaszczu pod portalem konarów.

— Sluchaj — odezwala sie Visenna po chwili. — Jak to moze, wedlug ciebie, wygladac w przyszlosci? Czy rzeczywiscie jest mozliwe, zeby ludzie przestali nas potrzebowac? Chociazby w najprostszej materii, w kwestii leczenia? Troche postepu tu widac, wezmy dla przykladu takie ziololecznictwo, ale czy mozna sobie wyobrazic, ze kiedys uporaja sie, dajmy na to, z krupem? Z goraczka pologowa? Z tezcem?

— Twiik twiiit.

— Tez mi odpowiedz. Teoretycznie to mozliwe jest i to, ze nasz kon za chwile wlaczy sie do rozmowy. I powie cos madrego. A co powiesz o raku? Czy i z rakiem poradza sobie? Bez magii?

— Trrk!

— Ja tez tak mysle.

Wjechali w las, pachnacy chlodem i wilgocia. Przekroczyli plytki strumien. Visenna wspiela sie na wzgórze, zjechala potem w dól, wsród wrzosów, siegajacych strzemion. Znowu odnalazla droge, piaszczysta, zarosnieta. Znala te droge, jechala juz tedy zaledwie trzy dni temu. Tyle, ze w przeciwnym kierunku.

— Wydaje mi sie — odezwala sie znowu — ze jednak przydaloby sie u nas troche zmian. Kostniejemy, za mocno i zbyt bezkrytycznie uczepilismy sie tradycji. Gdy tylko wróce...

— Twiit — przerwal jej Pstrokaty Ptak.

— Co?

— Twiit.

— Co chcesz przez to powiedziec? Dlaczego nie?

— Trrrrk.

— Jaki napis? Na jakim znowu slupie?

Ptak, furczac skrzydelkami, zerwal sie z jej ramienia, odlecial, znikl wsród listowia.

Korin siedzial oparty plecami o slup na rozstaju, przygladal sie jej z bezczelnym usmiechem. Visenna zeskoczyla z konia, podeszla blizej. Czula, ze tez sie usmiecha, wbrew swej woli, co wiecej, podejrzewala, ze usmiech ten nie wyglada najmadrzej.

— Visenna — zawolal Korin. — Przyznaj sie, nie otumaniasz mnie przypadkiem czarami? Odczuwam bowiem ogromna radosc z tego spotkania, wrecz nienaturalna radosc. Tfu, tfu, na psa urok. To czary ani chybi.

— Czekales na mnie.

— Jestes niesamowicie przenikliwa. Widzisz, obudzilem sie raniutko i stwierdzilem, ze odjechalas. Jak milo z jej strony, pomyslalem sobie, ze nie budzila mnie dla takiego glupstwa jak zdawkowe pozegnanie, bez którego mozna sie wszak doskonale obejsc. Któz w koncu w dzisiejszych czasach zegna sie lub wita, toz to nic innego jak przesad i dziwactwo. Prawda? Obrócilem sie na drugi bok i spalem dalej. Dopiero po sniadaniu przypomnialem sobie, ze mam ci do powiedzenia cos niezwykle waznego. Wsiadlem zatem na zdobycznego konia i pojechalem na skróty.

— A cóz takiego masz mi do powiedzenia? — spytala Visenna, podchodzac blizej, zadzierajac glowe, by spojrzec w blekitne oczy, które zeszlej nocy widziala we snie.

Korin wyszczerzyl zeby w szerokim usmiechu.

— Sprawa jest delikatnej natury — rzekl. — Nie da sie jej strescic w kilku slowach. Bedzie to wymagalo szczególowych wyjasnien. Nie wiem, czy zdaze przed zmierzchem.

— Zacznij chociaz.

— Z tym wlasnie jest klopot. Nie wiem jak.

— Panu Korinowi brak slów — pokrecila glowa Visenna, wciaz sie usmiechajac. — Rzecz absolutnie nieslychana. Zacznij wiec, dajmy na to, od poczatku.

— Niezly pomysl — Korin udal, ze powaznieje. — Widzisz, Visenna, minal juz ladny kawal czasu, odkad wlócze sie samotnie...

— Po lasach i goscincach — dokonczyla czarodziejka, zarzucajac mu ramiona na szyje.

Pstrokaty Ptak, wysoko, na galezi drzewa, machnal skrzydelkami, rozpostarl je, zadarl glówke.

— Trrrk twiit twiiit — powiedzial.

Visenna oderwala usta od ust Korina, spojrzala na ptaka, mrugnela.

— Miales racje — odpowiedziala. — To rzeczywiscie droga, z której sie nie wraca. Lec, powiedz im...

Zawahala sie, machnela reka.

— Nic im nie mów.